

TEMATY TYGODNIA

- 6** Katarzyna Kwiatkowska-Moskaiewicz, Łukasz Wójcik
Krajobraz po katastrofie MH17
- 12** Jacek Żakowski
Jak przeżyć na głodowej emeryturze

POLITYKA

- 15** Mariusz Janicki, Wiesław Władysław
Fundamentalści katoliccy szykują się do władzy

SPOŁECZEŃSTWO

- 18** Agnieszka Sowa
Ginekolog jak saper
- 22** Edyta Gietka
Życie po przeszczepie twarzy
- 25** Joanna Drosio-Czaplińska
Sadomaso dla mas
- 28** Barbara Pietkiewicz
Gdy rodzic trafia do więzienia

ROZMOWA ŻAKOWSKIEGO

- 30** Filozof prof. **Michael J. Sandel** o dylematach moralności i o tym, że polityką rządzą piarowcy

RYNEK

- 34** Cezary Kowanda
Dla oszczędnych: pomysł na naprawdę tanie wakacje
- 36** Witold M. Orłowski
Dlaczego Putin nic sobie nie robi z gróźb Zachodu

ŚWIAT

- 38** Piotr Kowalczyk
WŁOCHY Mafiosi w kościele
- 42** Maciej Okraszewski
RPA Mistrzostwa się kończą, stadiony zostają
- 44** Łukasz Wójcik
Demokracja coraz mniej atrakcyjna

W NUMERZE

POLITYKA 30/23.07–29.07.2014



12 Emeryci: pokolenie 1600



15 Katolicyzm polityczny



25 Figle w łóżu madejowym



83 Jan Komasa i jego „Miasto 44”

PORTRETY MIAST POLSKICH

- 47 Szczecin – miasto niespełnione?**

HISTORIA

- 63** Adam Krzemiński
OGLĄD I POGLĄD Postawmy Churchillowi pomnik

NAUKA

- 66** Sławomir Swerpel
Podróż przyszłości: jeśli nie samolot, to co?
- 69** Technoecho
- 70** Rozmowa z prezesem Nokii **Rajeevem Surim** o tym, jak powstaje Internet Wszechrzeczy

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

- 72** Ziemowit Szczerek
Kaszuby od wewnątrz

KULTURA

- 80** Piotr Sarzyński
Jak malować papieża
- 83** Jan Komasa o „Mieście 44” i 70 rocznicy powstania warszawskiego
- 86** Marcin Zwierzchowski
Beowulf w wersji tolkienowskiej
- 88** KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 89** MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 90** Marcin Piątek
Łowcy burz
- 93** Olaf Szewczyk
Norweg się bawi

NA WŁASNE OCZY

- 100** Ewa Wilk, fotografie
Stanisław Ciok
Ziemia wraca

STAŁE RUBRYKI

- **4** Młeczko i Mizerski
• **6** Ludzie i wydarzenia
• **76** Afisz • **95** Passent • **96** Hartman
• **97** Tym • **98** Fusy • **99** Do i od redakcji • **106** Polityka i obyczaje

Szczecin, blisko i daleko

To nadodrzańskie miasto przez dziesięciolecia miało silniejszy związek z morzem niż położone bliżej Bałtyku Gdańsk i Gdynia. Ten sentyment ciągle jest żywy, czy jednak wystarczy, by na gruzach dawnego przemysłu okrętowego i morskiego zbudować nowy fundament dla trwałego rozwoju? Szczecin

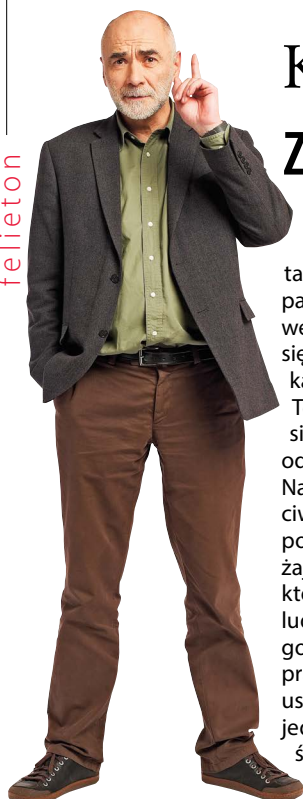


musi znaleźć swój pomysł na przyszłość, zanim z miasta wyjadą najzdolniejsi młodzi ludzie. W tym numerze POLITYKI zapraszamy do lektury kolejnej części cyklu „Portrety Miast Polskich” i dyskusji na naszym blogu portretymiastr.blog.polityka.pl.



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Kultura życia i śmierci

Z polskich ambon płyną w świat relacje o dramatycznych zmaganiach cywilizacji śmierci z kulturą życia. Cywilizację śmierci reprezentuje skompromitowany taśmami rząd Tuska i idące na jego pasku pseudoautorytety naukowe. Za kulturą życia opowiadają się m.in. polscy biskupi i znany katolicki ginekolog prof. Chazan. Ten ostatni w kierowanym przez siebie szpitalu kulturę życia krzewi od lat i dlatego, jak powiada biskup Napierała z Kalisza, wystąpiła przeciwko niemu zwarta, „złośliwa potęga chaosu i zamętu”, oskarżająca profesora w imię „praw, które bezprawnie ustanowili sobie ludzie”. Hierarcha nie zdradza, jakiego wyznania są to ludzie i kto im dał prawo do tego, żeby bezprawnie ustanawiali swoje prawa. Wiadomo jednak, że prawami tymi podważają światły autorytet Boga i episkopatu, służąc w ten sposób ciem-

nym siłom nowoczesnej świeckiej nauki.

Jedną z tych nauk jest niestety świecka medycyna, w której mamy do czynienia ze złą siłą wrogich prof. Chazanowi oraz życiu ludzkiemu w okresie prenatalnym. Medycyna ta zamiast bronić wartości najwyższych, takich jak sumienie prof. Chazana, z uporem godnym lepszej sprawy broni praw jego pacjentek, mimo że prawa te stoją w sprzeczności z jego sumieniem. Umówmy się, jeśli pacjentka chce dochodzić swoich praw, niech idzie do sądu, a nie do lekarza. Lekarz jest do tego, żeby pacjentkę leczyć i jej pomagać, oczywiście o ile pozwala mu na to sumienie. A jeśli sumienie mu nie pozwala, to trudno, pacjentce pozostają jeszcze ziołarze, cudowni uzdrowiciele, ewentualnie modlitwa. W wyniku dyktatu wynaturzonej, nieprzyjaznej lekarzom medycyny,

w kraju mamy coraz więcej grzechu i lekarskich pomyłek.

Niedawno we wrocławskim szpitalu pacjenta uznano za zmarłego tylko dlatego, że rzekomo obumarł jego mózg. Jego matka, koledzy, a także kilku księży oświadczyli wyraźnie, że w tę śmierć nie wierzą, niestety z ich zdaniem nikt się nie liczył i decyzji o śmierci pacjenta nie cofnięto. Powstaje pytanie, czy lekarze – często niebędący praktykującymi katolikami – są od decydowania o tym, kto może żyć, a kto nie może dlatego, że obumarł jego mózg? Może ten mózg obumarł, a może nie obumarł, zresztą jak obumarł, to jeden Bóg wie, czy jakimś cudem nie ożyje. Dlatego zdaniem biskupów współczesna medycyna nie powinna się do tego mieszać, ale zostawić los pacjentów w rękach Boga. Zwłaszcza że może on zdziałać cuda, do których współczesnej medycynie wciąż daleko.



GDAŃSK

Najlepszy Samorząd
Rzeczypospolitej

wg Rankingu Samorządów „Rzeczypospolitej” 2014



GDAŃSK

www.gdansk.pl



facebook.com/gdansk



twitter.com/gdansk

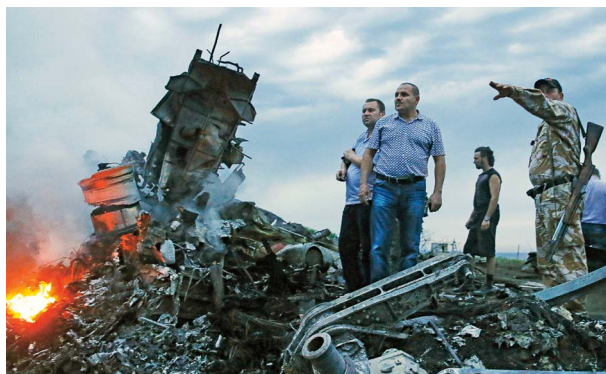


instagram.com/gdansk_official

[Kup książkę](#)

Strącone złudzenia

Zestrzelenie malezyjskiego boeinga paradoksalnie daje Władimirowi Putinowi szansę na wyjście z Ukrainy z twarzą.



Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, Łukasz Wójcik

W miejscu, gdzie spadł kokpit samolotu, na słonecznikowych polach w pobliżu wioski Razsipnoje, miejscowi zbudowali niewielki ołtarzyk z kwiatów i świec. Są tam również zdjęcia ofiar, najwyraźniej znalezione w internecie. Ciała i ich części były wszędzie wokół – wspominają miejscowi. Często półnagie, bo pęd powietrza zerwał z nich ubrania.

Głowica bojowa trafiła prawdopodobnie w prawe skrzydło lub wybuchła tuż obok boeinga 777 i wyrzuciła z siebie odłamki, które podziurawiły maszynę. Od wystrzelenia głowicy do uderzenia nie minęło więcej niż kilkanaście sekund. Piloci nie mieli nawet czasu, aby wysłać sygnał alarmowy. Samolot rozpadł się już na wysokości 10 tys. m i choć większość szczątków spadło w pobliżu lokalnej drogi, niektóre z nich odnaleziono nawet 4 km dalej.

Liczba ofiar lotu MH17 z Amsterdamu do Kuala Lumpur ostatecznie zatrzymała się na 298. Pierwotnie mówiono o trzech osobach mniej, opierając się na liczbie foteli w samolocie. Okazało się jednak, że na pokładzie była również trójka dzieci poniżej 2 roku życia, które podróżowały na kolanach rodziców. Wśród ofiar najwięcej jest Holendrów, bo aż 189. Większość leciała na wakacje. Drugi na tej czarnej liście są Malezyjczycy (44), potem Australijczycy (28), dalej Brytyjczycy, Amerykanie, Belgowie i Niemcy. Ponad 100 pasażerów było w drodze na międzynarodową konferencję w sprawie AIDS w Australii. Do poniedziałku separatyści znaleźli ok. 250 ciał.

Wystrzelony pocisk rakietowy pochodził z mobilnej wyrzutni należącej do systemu rakiet ziemia–powietrze Buk.

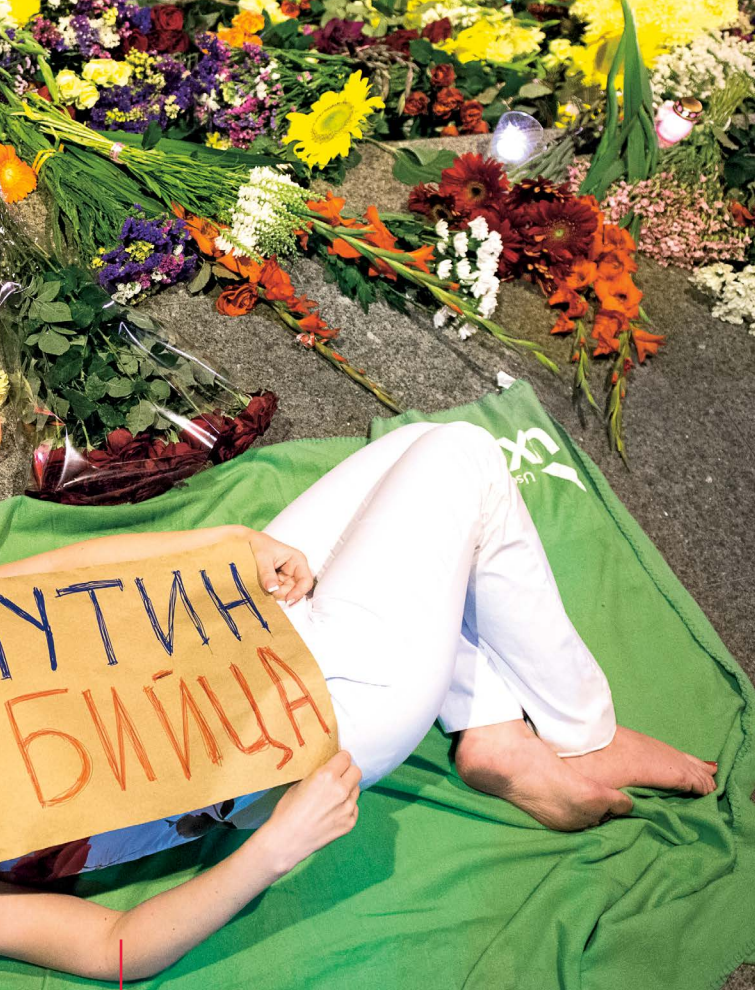
Nie był to więc lekki zestaw, który można przemieścić przez granice w samochodzie, a potem oprzeć na ramieniu i odpalić. To nowoczesna, jak na rosyjskie warunki, sprawdzona już w kilku konfliktach broń. Jej pełne zastosowanie (kilka samobieżnych wyrzutni, radar) wymaga sporego doświadczenia. Elementy tego systemu działają również oddzielnie – tak było w tym przypadku.

Moskwa od razu zwróciła uwagę, że zestawy Buk są też na wyposażeniu ukraińskiej armii. Feralnego dnia najbliższy znajdował się jednak ponad 30 km od miejsca tragedii. Pocisk natomiast, co widać na amatorskich nagraniach, leciał niemal pionowo do góry. Został więc – zdaniem zachodnich ekspertów – wystrzelony w okolicach dwóch miejscowości: Torez i Sniżne, kontrolowanych bezspornie przez prorosyjskich separatystów. Tę wersję potwierdza również amerykański wywiad, opierając się na danych satelitarnych.

Szef ukraińskiej służby bezpieczeństwa SBU Witalij Nijda przedstawił w weekend serię nagrań rozmów między separatystami oraz zdjęcia i filmy. Dodał również, że samobieżną wyrzutnię (elementu systemu Buk) obsługiwało trzech Rosjan i jeden „koordynator” ze strony separatystów o pseudonimie Besler. Według Ukraińców, którzy sami mają ok. 60 zestawów Buk, separatyści dostali z Rosji co najmniej dwa. Jeden z nich (ten, z którego strzelano) został przerzucony przez granicę w okolicach Suchodilsk w nocy z 16 na 17 lipca. Drugi trafił na Ukrainę nieco wcześniej z okupowanego przez Rosję Krymu.

Oryginalności nagrań przedstawionych przez Ukraińców nie da się ostatecznie zweryfikować. Jak dotąd międzynarodowi eksperci nie zgłosili jednak co do nich żadnych zastrzeżeń. „Dzięki Bogu, Buki w końcu dotarły dziś rano. Teraz będzie łatwiej” – cieszy się na jednym z nagrań rosyjski agent, zdaniem Kijowa wspierający separatystów na Ukrainie. Inna rozmowa, z 17 lipca: „Gdzie mamy zapakować tę piękniśnię?” – pyta jeden z liderów separatystów, ps. Buriat. Po drugiej stronie linii zakłopotany oficer GRU dopytuje, o jaki sprzęt chodzi. „Tak, tak, Buk, Buk” – pada odpowiedź. W niedzielę Ukraińcy zaprezentowali kolejne nagranie. „Moskwa interesuje się, gdzie są czarne skrzynki” – mówi na nich jeden z separatystów. „Są pod naszą kontrolą” – twierdzi Aleksander Borodaj, samozwańczy premier Donieckiej Republiki Ludowej (DRL).

Rosjanie zaczęli się bronić poprzez atak informacyjny. „Odpowiedzialność za tę straszną tragedię ponosi państwo, nad którego



© EAST NEWS, EPA/PAP

Mieszkanka Kijowa pod ambasadą Holandii oskarża: „Putin zabójca”. Obok: separatyści na miejscu katastrofy.

terytorium do niej doszło – przekonywał w dzień po zestrzeleniu samolotu Władimir Putin. – Kijów nie powinien być wznawiać działań zbrojnych w południowo-wschodniej Ukrainie”. Rosyjskie media z początku bardzo zdawkowo informowały o „incydencie lotniczym” nad wschodnią Ukrainą. Gdy w końcu było już jasne, że samolot nie spadł sam, pojawiły się tam wersje wydarzeń godne Johna le Carré. Według jednej z nieba spadły szczątki samolotu Malaysia Airlines, który zaginął nad Oceanem Indyjskim 8 marca tego roku. Świadczyć ma o tym stopień rozkładu ciał oraz stan znalezionych przy nich dokumentów – „jakby prosto z drukarni”. Według innej wersji Ukraińcy chcieli zestrzelić prezydencki samolot Putina, który właśnie wracał z Ameryki Południowej, ale się pomylili.

Wielu analityków twierdzi, że po takim ciosie Malaysia Airlines już się nie podniesie. W historii lotnictwa żadna komercyjna linia nie straciła dwóch samolotów w jednym sezonie. Azjatycki przewoźnik, który od siedmiu lat jest na kropłowiec z malezyjskiego budżetu, już w marcu, po zniknięciu MH370, był na skraju bankructwa – wtedy wierzyciele zażądali przyspieszenia spłaty długów, nie mówiąc już o wyraźnym spadku obłożenia samolotów. Problemy finansowe po części tłumaczą też trasę przelotu MH17. Mimo toczących się walk korytarz nad wschodnią Ukrainą nie był formalnie zamknięty – obowiązywał jedynie zakaz lotów poniżej 7,5 tys. m, co nie dotyczy dużych samolotów pasażerskich. Kijów zakładał, że separatyści dysponują tylko ręcznymi wyrzutniami, które są dość niecelne i niebezpieczne tylko do pułapu ok. 3 tys. m. Większość komercyjnych linii nie chciała więc, aby ich samoloty okrążały ten region, gdyż jest to optymalna trasa dla lotów między Europą i Azją Południowo-Wschodnią.

Nie wystarczyło, że separatyści tylko w ciągu dwóch ostatnich miesięcy zestrzelili 12 ukraińskich maszyn, samolotów i helikopterów, w tym 60-tonowego Ił-76 z 49 żołnierzami na pokładzie. Do trafień

dochodziło jednak na niskim pułapie. Czerwona lampka powinna się była zapalić 15 lipca, kiedy to separatyści zestrzelili należący do ukraińskiej armii transportowy An-26 w okolicach Ługańska. W momencie trafienia samolot był na wysokości ponad 6,5 tys. m. Już wtedy było wiadomo, że w rękach separatystów jest zaawansowany sprzęt z Rosji.

Dlaczego wtedy nie zamknięto korytarza dla samolotów pasażerskich? Bez odpowiedzi pozostaje więcej pytań. Nie wiadomo, co się stało z operatorami wyrzutni. Jedna z ukraińskich agencji podała, że na granicy zatrzymano dwóch Rosjan z wojskowymi dokumentami. Jeden z nich miał służyć w jednostce obrony przeciwlotniczej. Nie ma też samej wyrzutni, choć ukraiński wywiad pokazał w sobotę amatorskie nagranie, na którym ciężarówka, prawdopodobnie z Bukiem na naczepie, zmierza z dużą prędkością w stronę granicy z Rosją. Nagrania rozmów separatystów nie wyjaśniają również stopnia ich podporządkowania Moskwie. Gdy mowa na nich o kolkach, którzy mieli strzelać, łatwo o wniosek, że akurat w tym przypadku działali oni na własną rękę.

W końcu – po co Putin miałby zestrzelić samolot pasażerski? A jeśli to był przypadek, pomyłka, to dlaczego Moskwa w ogóle wypuszczała separatystów w tak śmiertelnością broń, nie mając nad nimi wystarczającej kontroli?

Coraz więcej świadczy o tym, że zestrzelenie MH17 może być gwoździem do trumny donbaskich separatystów. Część z nich już opuściła górniczy region. Wyjeżdżają po cichu na Krym albo do Rosji. Na Półwyspie Krymskim jest już Arsen Pawłow, znany pod pseudonimem Motorola. „To żywa legenda, mądry, bystry i nie zna strachu, żołnierz doskonały” – zachwycała się rosyjska gazeta „Zawtra”, która bitwę o Słowiańsk nazywała „drugim Stalingradem”. W Moskwie przebywa już z kolei szef „Rady Najwyższej” DRL Denis Puszylin. Do rosyjskiej stolicy przyjechał na konsultacje z doradcą prezydenta Putina Władysławem Surkowem. Dzień po katastrofie boeinga podał się do dymisji.

Kim są ci ludzie i skąd się wzięli we wschodniej Ukrainie? Po odpowiedź trzeba cofnąć się do początków konfliktu. Gdy na Krym weszły wojska rosyjskie i stało się jasne, że świat nie sprzeciwi się aneksji półwyspu, uzbrojone prorosyjskie bojówki pojawiły się w Donbasie. 6 kwietnia w Ługańsku zajęły budynek Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, przejęły znajdującą się tam broń. Wzięto 60 zakładników. Separatyści zbudowali barykady wokół zajętego budynku. Zamienili ukraińską flagę na rosyjską i tak narodziła się Ługańska Republika Ludowa.

„W akcji brało udział 200–300 osób, w tym 30 wojskowych z Rosji” – powiedział agencji informacyjnej Unian Wołodymyr Łandik, deputowany rady najwyższej, były członek Partii Regionów. Ta relatywnie mała grupa z łatwością mogłaby zostać spacyfikowana przez siły specjalne milicji. Tymczasem działo się odwrotnie: mundurowi – choć mieli przewagę liczebną i militarną nad separatystami – poddawali się bez walki. Ten scenariusz powtarzał się w innych miastach Donbasu: Słowiańsku, Krematorsku, Doniecku.

Prorosyjskie protesty popierały bowiem miejscowe elity – ludzie byłego prezydenta Wiktora Janukowycza. Niezadowoleni ze zwycięstwa Majdanu bonzowie Partii Regionów bali się, że nowe władze w Kijowie pozbawią ich wpływów i majątku. Protesty separatystów były więc na rękę grubym rybm z Donbasu. To dlatego politycy Partii Regionów tak ochoczo wzięli pod skrzydła samozwańców z ludowych republik, choć jeszcze w lutym tego roku, przed ucieczką Wiktora Janukowycza, młodzieżówka PR spuściła łomot separatystom, gdy ci próbowali demonstrować na ulicach Doniecka za niepodległością górniczego regionu.

Bez poparcia miejscowych elit republiki ludowe nie miałyby szans na przetrwanie. Separatyści nie mogli liczyć na tradycyjnie bierną ludność Donbasu, która, owszem, nie akceptowała nowych władz w Kijowie, chciała autonomii regionu i bliskich relacji z Rosją, ale nie była gotowa iść z tego powodu na barykady. Do separatystów szybko dołączyli bezrobotni, pozbawieni perspektyw mieszkańcy wynędzniałych górniczych miejscowości. Skuszeni łatwym zarobkiem i władzą, jaką dawał naładowany karabin. – Spotkałem kolegę ze szkoły. Spytałem, co tu robi. Odpowiedział: czy Kijów

► *dalby mi pracę za 2 tys. euro? Bojówkarze konfiskowali samochody, grabili sklepy. Można było się obłowić* – opowiada Eugenij Spirin, dziennikarz z Ługańska.

Żołnierzami ludowych armii są miejscowi, ale ich dowódcy przyjechali z Rosji i Krymu. W Moskwie urodził się Igor Strielkow (prawdziwe nazwisko Girkin), „minister obrony” DRL. To on na swoim Twitterze 17 lipca radośnie poinformował o „zastrzeleniu ptaszka”, którym okazał się boeing 777. Girkin pracował w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, służył w Czeczenii, walczył na Bałkanach, w kwietniu 2014 r. przyjechał do Słowiańska.

Po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Petra Poroszenki i ofensywie Kijowa w ramach operacji antyterrorystycznej z Rosji na wschód Ukrainy zaczęli napływać też „ochotnicy”. Część uwierzyła rodzimej propagandzie i przybyła na pomoc prawosławnym braciom, zabijanym podobno przez banderowców, większość skusiła możliwość zarobku. Ich ciała sprowadzano z powrotem do Rosji w wielkiej tajemnicy. Był to dla Kremla kłopotliwy ładunek – jak wytłumaczyć się z ciał żołnierzy poległych w wojnie, której – oficjalnie – nie ma?

Ale wojna mogła się zacząć. W tygodniu poprzedzającym tragedię MH17 niezależni analitycy zwracali uwagę, że Rosjanie gromadzą znaczne siły przy granicy z Ukrainą. Również NATO alarmowało, że szykuje się pełnowymiarowa inwazja rosyjska na wschodnią Ukrainę. Eksperti Sojuszu

zaczęli prorokować nawet, że Putin wybrał sierpień jako najlepszy moment na uderzenie: wakacyjne przerwy nie sprzyjają szybkiej mobilizacji zachodnich polityków – metoda przetestowana sześć lat temu, podczas napadów na Gruzję. W przygotowania wyraźnie zaangażowana była rosyjska propaganda, według której ktoś w końcu musi stanąć w obronie sponiewieranych mieszkańców Donbasu, bo w przeciwnym razie czeka ich długa zima bez dostaw energii.

Plan jednak runął wraz z maszyną Malaysian Airlines, a Rosja próbuje teraz taktyki na przeczekanie. Podczas sobotniej wizyty w Moskwie sekretarz stanu USA John Kerry usłyszał od swojego rosyjskiego odpowiednika Siergieja Ławrowa, że Rosji zależy na jak najszybszym wyjaśnieniu tragedii. Dlatego użyje swoich wpływów (wcześniej zaprzeczała, że takowe ma), aby doprowadzić do zawieszenia broni i do politycznego rozwiązania konfliktu.

Na razie skończyło się na słowach. Putin apeluje o „bezzstronne śledztwo”, ale nie proponuje konkretnów. Już zapowiedział, że nie zaakceptuje wyników ukraińskiego dochodzenia i zamierza wysłać własnych ekspertów do Donbasu. Część obserwatorów twierdzi, że Rosjanie już są na miejscu, gdzie ludzie z OBWE nie są dopuszczani, i pomagają w usuwaniu dowodów.

Taktyka przeciągania na razie nie niewiele się zdała, bo na Zachodzie rośnie antyrosyjska mobilizacja i realne są kolejne sankcje. Dotychczas Waszyngton i Bruksela zatrzymały się na tzw. drugiej fazie sankcji. W pierwszej chodziło o polityczną i symboliczną izolację Rosji na arenie międzynarodowej. Druga faza, którą Amerykanie zaostrzyli dosłownie na dzień przed tragedią MH17, dotyczy sankcji indywidualnych: zakazy wjazdu dla wysokich przedstawicieli reżimu, zamrożenie kont. Trzecia faza, o której wspominał w weekend Obama, a także w specjalnym oświadczeniu Parlament Europejski, to już pełne sankcje gospodarcze, blokujące współpracę biznesową z całym sektorem gospodarki Rosji, przede wszystkim z energetyką.

Zachodni politycy, w szczególności Barack Obama i premier Holandii Mark Rutte, domagają się międzynarodowego śledztwa i dopuszczenia europejskich ekspertów do wraku, co dotychczas uniemożliwiali separatyści. W imieniu Holendrów z separatystami negocjuje OBWE – premierowi Rutte zależy, aby wagony z ciałami ofiar jak najszybciej znalazły się na terytorium kontrolowanym

przez Kijów. Wówczas mogłyby się zacząć procedury identyfikacyjne. Wielu Holendrów jest przekonanych, że ich rząd robi jednak zbyt mało, aby odzyskać zwłoki. O pośpiech w tej sprawie apelują również hierarchowie kościoła. Poważny dziennik „De Telegraaf” w sobotnim komentarzu redakcyjnym zażądał nawet od premiera, aby ten wysłał na miejsce tragedii jednostki specjalne, „aby chroniły dowody zbrodni”.

W niedzielę wieczorem, po kolejnych informacjach o karygodnym traktowaniu zwłok przez separatystów, liderzy Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii postawili Moskwie jasne ultimatum: albo szybki i nieograniczony dostęp do miejsca tragedii, albo nowe sankcje.

W Waszyngtonie John Kerry również zagroził kolejnymi krokami przeciwko Rosji. W wywiadzie dla NBC powiedział: „Pijani separatyści ładowali ciała na ciężarówki. Mamy do czynienia z groteską. Wszystko to jest sprzeczne z tym, co obiecywał Władimir Putin”. Część prawicowych publicystów nie ma wątpliwości, że to Ameryka powinna stanąć w pierwszym szeregu. William Kristol z „Weekly Standard” napisał nawet, że zestrzelenie MH17 jest jak atak na „Lusitanię” w maju 1915 r. (zatopienie tego luksusowego statku pasażerskiego przez niemiecki okręt podwodny walnie przyczyniło się do przystąpienia Ameryki do pierwszej wojny światowej). Obama mówił jednak w sobotę, że „Europa musi się w końcu obudzić”, dał do zrozumienia, że to europejskie stolicy przejąć inicjatywę.

Z tym może być problem. W kropce znalazły się Włochy, które 1 lipca przejęły przewodnictwo w Unii Europejskiej. Tamtejsza dyplomacja w tygodniu poprzedzającym tragedię szczególnie intensywnie zaangażowała się w promowanie swojej nowej szefowej Federiki Mogherini na stanowisko szefa unijnej dyplomacji. Głównym „hasłem wyborczym” Włoszek było „racjonalne podejście do Rosji”, w kontraście do innych kandydatów na to stanowisko, m.in. Radosława Sikorskiego. Dziś może to stanowić poważne obciążenie dla jej kandydatury.

Z dystansem do sankcji podchodzą również Francuzi, którzy są w trakcie przekazywania Rosjanom pierwszego z dwóch dużych okrętów dowodzenia klasy Mistral. Trzecia faza sankcji niemal na pewno oznaczać będzie również zablokowanie wszelkich relacji między sektorami zbrojeniowymi. Po przeciwnej stronie skali jest natomiast premier Australii Tony Abbott.

W ostrych słowach zaapelował on o wykluczenie Rosji z grona państw G20. Najbliższe spotkanie tego klubu ma się odbyć już w listopadzie właśnie w Australii.

Paradoksalnie, dzięki tragedii MH17 Putin zyskał doskonałą sposobność, aby wycofać się z konfliktu na Ukrainie z twarzą. Wcześniej nie mógł wprost zerwać z separatystami – zbyt wiele zainwestował, aby przekonać Rosjan, że pomoc dla nich jest obowiązkiem Moskwy. Konflikt jednak ugrzązł. Brak perspektywy przełomu i postępująca ukraińska ofensywa sprawiły, że międzynarodowe koszty tej operacji rosły dla Kremla, nie przynosząc mu jednocześnie większego pożytku.

Zestrzelenie MH17 może stać się dla Kremla użyteczną tragedią. Samolot Malaysian Airlines nie zostałby trafiony, gdyby nie rosyjski sprzęt i prawdopodobnie rosyjscy operatorzy. Ale wygląda na to, że takie właśnie, bestialskie użycie tej broni nie było w planach Kremla. Powiązany biznesowo z Rosją Zachód z pocałowaniem ręki przyjąłby tłumaczenie Moskwy o niezamierzonych konsekwencjach współpracy z separatystami. Zachód przebaczy, jeśli dostanie coś w zamian – np. odcięcie się Kremla od prorosyjskich separatystów. Putin i tak ma już niewiele do stracenia, biorąc pod uwagę dynamikę konfliktu na Ukrainie. A i Rosjanie łatwiej przełkną zdradę wobec braci z Donbasu, którzy okazali się masowymi mordercami niewinnych turystów.

KATARZYNA KWIATKOWSKA-MOSKALEWICZ, ŁUKASZ WÓJCIK

Ma szanse, ale czy ma ochotę?



Ignacy Niemczycki

Donald Tusk na ostatni unijny szczyt pojechał, by walczyć o ważną tekę dla regionu. Wrócił jako możliwy kandydat na szefa Rady Europejskiej. Premier zaprzecza, że chce jechać do Brukseli, ale polityczna układanka mu sprzyja. Nominacje na kolejnym szczycie Unii 30 sierpnia. Według unijnych dyplomatów fiasko szczytu było pewne już wcześniej. W forsowanej przez Berlin układance nie uwzględniono interesów państw Europy Środkowo-Wschodniej, a ustępujący szef Rady Herman Van Rompuy nie docenił siły ich oporu. Szybko zapadła decyzja o przełożeniu rozmów. Nie dyskutowano o konkretnych nazwiskach. Przebieg szczytu nie zmusił Tuska do jasnych deklaracji wobec

innych przywódców, bo negocjacje przełożono na później. Niezależnie od tego, czy kanclerz Merkel złożyła tę propozycję Tuskowi czy nie, jego szanse po szczycie wzrosły. Berlin i Paryż zgodnie twierdzą, że stanowisko szefa unijnej dyplomacji przypadnie socjaldemokratce – najpewniej będzie to Włoszka Federica Mogherini (choć jej notowania w warunkach ostrego kryzysu z Rosją wydają się maleć) lub Dunka Helle Thorning-Schmidt. Bez szans jest więc Radosław Sikorski. Wybór polityka chadecji z kraju Europy Środkowo-Wschodniej na szefa Rady Europejskiej spełniłby więc kryterium różnorodności geograficznej, którego zabrakło na poprzednim szczycie.

Premier Tusk ma więc realne szanse na urząd „prezydenta Europy”. Przemawia za nim doświadczenie – jest trzecim najdłużej urzędującym szefem rządu w Unii i ma dobre kontakty z Berlinem i Paryżem.

Ale można wnosić, że nie ma na to stanowisko ochoty. Po pierwsze: czy mógłby sobie pozwolić na pozostawienie partii, którą zdominował, na rok przed wyborami? Po drugie: z Brukseli Tuskowi byłoby trudno forsować polskie interesy, a tego oczekiwaby polska opinia publiczna. Szef Rady Europejskiej jest współautorem podejmowanych decyzji – jego propozycje są podstawą do kompromisu pomiędzy 28 stolicami. A Unię w najbliższym czasie czekają np. decyzje dotyczące planów redukcji emisji CO₂ po 2020 r. czy przebudowa strefy euro. Warszawa sprzeciwia się planom Brukseli, a szef Rady będzie negocjował kształt porozumienia. Tuskowi nie byłoby łatwo odnaleźć się w tej roli.

Sumując: na ten zaszczytny unijny awans chyba jeszcze za wcześnie. Ale za 2,5 roku (tyle trwa kadencja szefa Rady), kto wie...

Autor jest analitykiem POLITYKI INSIGHT.
(Czytaj także na s. 11)



Mundial w Rosji (?)

Rosja wyraźnie nie bierze pod uwagę, że mogłaby zostać, w ramach międzynarodowych sankcji, pozbawiona organizacji następnego mundialu – w 2018 r. Kiedy gaśły światła na stadionach w Brazylii, ogłosiła własny sportowy wyścig zbrojeń. Rosyjskie mistrzostwa mają wstępnie kosztować 40 mld dol., czyli dwa razy tyle co brazylijskie, ale i to zapewne nie jest ostatnie słowo, bo wszyscy poprzednicy nie doszacowali. Z 12 potrzebnych stadionów 7 powstanie od zera (w tym w Petersburgu, za 1,23 mld dol.), a dwa będą wymagały gruntownego remontu. Na niemieckim mundialu w 2006 r. koszt uzyskania jednego krzesła na trybunach piłkarskich wynosił 3,2 tys. dol., cztery lata później w RPA – 5 tys. dol., teraz w Brazylii – 6,5 tys. dol. W Rosji będzie kosztowało 11,5 tys. dol., a na stadionie w Petersburgu – 16,5 tys. dol. Katar, który przejmie mundialową pałeczkę, z pewnością (i z przyjemnością) te rekordy pobije. Chyba że za karę za korupcję zostanie pozbawiony organizacji mistrzostw.

Jak RPA wyszła na mundialu – s. 42.

Chiński serial

Dziennikarz **Rui Chenggang** został zatrzymany tuż przed wejściem do studia, telewizjowizie zobaczyli tylko jego pusty fotel i mikrofon (a audycję poprowadził samotnie współgospodarz programu). Ta telewizja to centralna państwowa CCTV, główny kanał uderzenia propagandowego władz, a i 37-letni dziennikarz to nie byle kto: zwany chińskim Larrym Kingiem, przeprowadzał najważniejsze wywiady z dostojnikami i biznesmenami z kraju i z zagranicy, a na swoim mikroblogu miał 10 mln sympatyków. Zasłynął też udaną kampanią, aby z terenu pekińskiego Zakazanego Miasta usunąć amerykańską kawiarnię Starbucks. Jego zniknięcie i zarzut korupcji zrobiły więc większe wrażenie niż seryjne relacje z zatrzymaniami innych prominentów pod podobnymi zarzutami, bo te od półtora roku rządów nowej ekipy zdążyły spowszednieć. Dochodzeniami tego rodzaju, często już zakończonymi wyrokami – w tym śmierci, objęto do tej pory 160 tys. działaczy partyjnych i gospodarczych oraz urzędników administracji różnego szczebla. Wśród nich 30 postaci z najwyższej półki – w tym gen. Xu Caihou, były wiceprzewodniczący niezwykłego wpływu Centralnej Komisji Wojskowej, pospieszenie usunięty z partii, który ma stanąć przed sądem wojskowym.

Skała czystek wskazuje na rozległość i intensywność walk frakcyjnych prowadzonych przez ekipę przewodniczącego Xi Jinpinga. Przy czym analitycy wskazują, że reflektor w tym przypadku sięga daleko poza rozrachunki klanowe i młyny miąg



także „swoich”. Wśród powodów relacji (również w macierzystej telewizji redaktora Rui) na temat wielkości przywłaszczonych dóbr, zasięgu nepotyzmu i liczby kochanek, popularność wśród odbiorców zyskały historie niebanalne. Na przykład wysoki urzędnik w Hebei, który zginął w wypadku drogowym podczas ucieczki przed zatrzymaniem, miał przy sobie 47 kart kredytowych. Z kolei w pekińskim mieszkaniu wysokiego urzędnika ministerstwa energetyki, który nie miał zaufania do banków, znaleziono 100 mln juanów, czyli jakieś 50 mln zł, w 100-juanowych banknotach. Wazyły prawie tonę.

Każdy jest dawcą

Sprawa 17-letniego Kamila z Wrocławia, u którego lekarze zdiagnozowali śmierć mózgu w wyniku obrażeń doznanych w wypadku samochodowym, wzbudziła wiele kontrowersji. Ojciec chłopaka wyraził zgodę na pobranie narządów od syna. Nie wyraziła jej jednak matka, która wraz z kilkudziesięcioma osobami protestowała przeciwko odłączeniu chłopca od aparatury, zarzucając lekarzom, że nie zależy im na ratowaniu życia syna, tylko na zdrowych organach do przeszczepu. Według obowiązującej ustawy z lipca 2005 r. każdy obywatel, który nie wyraził sprzeciwu, jest potencjalnym dawcą narządów. Dodatkowo chęć oddania organów może wyrazić, wypełniając pisemną deklarację i nosząc ją przy sobie wraz z dokumentami. Oświadczenie woli ma jednak charakter symboliczny i nie zwalnia lekarzy z procedury sprawdzenia potencjalnego dawcy w Centralnym Rejestrze Sprzeczniów, działającym przy podległym Ministerstwu Zdrowia Centrum Organizacyjno-Koordynacyjnym ds. Transplantacji Poltransplant. Baza ta zawiera dane osób, które nie wyrażają zgody na pobranie swoich organów po śmierci. By się w niej znaleźć, należy wypełnić stosowne oświadczenie i osobiście bądź listownie



Łatwiej oskarżać lekarzy o handel organami, niż zrozumieć, czym jest śmierć mózgu.

Na fot. protest pod szpitalem we Wrocławiu.

dostarczyć je do Poltransplantu. Otrzymanie potwierdzenia ma być gwarancją, że dopóki nie cofniemy swojego wpisu, nasze narządy nie zostaną pobrane. Aktualnie rejestr zawiera dane 27,5 tys. osób. Moc prawną ma też własnoręcznie podpisane oświadczenie, a w przypadku osoby małoletniej deklaracja przedstawiciela ustawowego oraz deklaracja osoby powyżej 16 roku życia lub nawet oświadczenie ustne złożone w obecności przynajmniej dwóch świadków, którzy potwierdzą ten fakt swoimi podpisami.

Choć lekarze, pod których opieką był zmarły, informują zwykle rodzinę o śmierci i zamiarze pobrania narządów

do przeszczepienia, nie muszą prosić jej o wyrażenie na to zgody. – *Jednak gdy rodzina jest przeciwna, nie dochodzi do pobrania organów* – wyjaśnia dr Jarosław Czerwiński z Poltransplantu. Dodaje, że w ciągu ostatnich kilku lat taka sytuacja miała miejsce w ok. 70–90 przypadkach rocznie, czyli w przypadku co dziesiątego potencjalnego dawcy. Zgodnie z ustawą tzw. śmierć mózgu, czyli stan ustania krążenia krwi w mózgu, powodujący jego nieodwracalne uszkodzenie, stwierdza komisja złożona z trzech lekarzy, w tym co najmniej jednego specjalisty w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii oraz jednego specjalisty w dziedzinie neurologii lub neurochirurgii. Żaden z nich nie może brać później udziału w procesie pobierania i przeszczepiania narządów. Narządy przeznaczone do transplantacji muszą pochodzić od osób zdrowych, dlatego wykonuje się badania wykluczające choroby, które mogłyby zostać przekazane biorcy przeszczepu.

Z danych Poltransplantu wynika, że od stycznia do czerwca 2014 r. pobrano narządy od 290 zmarłych i dokonano 729 przeszczepów, w tym m.in. 512 nerek, 35 serc i 9 płuc. Aktualnie na Krajowej Liście Oczekujących na Przeszczepienie znajdują się 1533 osoby.

(A.Dob.)

Logika ścigania

Marek Ostrowski



Szaleniec drogowy poranił spacerowiczów w Sopocie; trudno nawet powiedzieć drogowy, bo samochód wtargnął na molo, stwarzając niebezpieczeństwo jeszcze większej katastrofy. Katastrofy, bo nawet dziecko rozumie, jakie spustoszenie może czynić ważący półtorej tony samochód. Sprawcy o mało nie zlinczowano i w internecie mnóstwo komentatorów żałuje, że – spóźniona jak zwykle – policja ocaliła bandytę, bo teraz facet na pewno wymknie się karze. Ludzie przypominają sprawę tzw. Froga, który jeździł po Warszawie, miejscami nawet 200 km na godzinę, czasem i na czerwonym świetle albo pod prąd. Nawet sam premier wyraził wtedy oburzenie i przyrzekł, że chwalcę się internetowym filmikiem pirat zostanie szybko ujęty i potraktowany, jak należy.

Szybko wcale go nie ujęto, a sposób procedowania budzi zdumienie. Otóż prokuratorzy mówią, że nie ma mocnych dowodów na Froga z bmw, nawet na przestępstwo sprowadzenia niebezpieczeństwa katastrofy. Według ich logiki trzeba najpierw ustalić, ile było osób na ulicach, chodnikach i w samochodach w pobliżu trasy pirata, wezwać je, ustalić personalia, przesłuchać, zapytać, czy subiektywnie odczuwały zagrożenie ze strony Froga. Ponadto ustalić, jakie były znaki drogowe na tych ulicach Warszawy, i wreszcie – czy nagranie nie było zmanipulowane. Według tej logiki należałoby poprzez biegłych zbadać, czy samochód nie poruszał się na poduszce magnetycznej, bo obrona może postawić taką hipotezę. Bezradność prokuratury widoczna jest także w sprawie kobiety, która na rondzie w centrum Warszawy wpadła do przejścia dla pie-

szych. Organy ścigania (mimo że to nie pierwszy drogowy wyczyn tej pani) potraktowały ją w aksamitnych rękawiczkach i dopiero po długim procedowaniu zleciły badania psychiatryczne.

W polskim Kodeksie karnym jest przestępstwo z art. 174 – sprowadzenie bezpośredniego niebezpieczeństwa katastrofy w ruchu lądowym. To przestępstwo tzw. formalne, przy którym żaden wypadek nie musi zaistnieć. Po prostu ustawodawca uznaje, że nieodpowiedzialne zachowanie jest tak niebezpieczne, że powinno być ukarane już na etapie poprzedzającym możliwą katastrofę. Samo narażenie na niebezpieczeństwo jest karalne. I także z winy nieumyślnej, kiedy sprawca oczywiście nie przewiduje żadnego złego skutku, chociaż powinien przewidywać (a co dopiero, kiedy, jak w Sopocie, poluje na przechodniów).

Jeden z prokuratorów tłumaczy, że to wcale niełatwe, i powołał się na stanowisko Sądu Najwyższego, który stawiał rygorystyczne progi oceny pojęciu „bezpośredniości niebezpieczeństwa”. To prawda, ale było to prawie 40 lat temu w czasach zupełnie innego natężenia ruchu i liczby samochodów. Ciekawe, że na internetowej witrynie orzecznictwa SN dużo łatwiej znaleźć orzeczenie sprzed pół roku, gdzie czytamy takie zdania: „Wystarczy uzmysłowić, co oznacza prowadzenie samochodu na terenie zabudowanym z prędkością ponad dwa razy przekraczającą dopuszczalny limit (...). Odparcie argumentów apelacji (że nie zebrano dostatecznych dowodów) nie wymagało obszernych wywodów”. Dlaczego prokurator nie powołuje się na to orzeczenie?

Podczas niedawnego remontu chodnika przy Starym Mieście w Warszawie stojący w pobliżu stróża prawa łapali jak leci przechodniów, karząc mandatami za potencjalnie niebezpieczne korzystanie z pustej niemal jezdni. Kiedy kierowca nieznacznie przekracza prędkość nawet przy absurdalnie ustawionym znaku ograniczenia – policja nie ma najmniejszej wątpliwości co do potrzeby karania. Wobec staruszki, która sama nie jest w stanie rozeznaczyć, dlaczego ją ciągną do aresztu – pokazywano to ostatnio w „Wiadomościach” – logika represji jest wtedy dla aparatu zupełnie inna. I wszyscy to widzą, że wobec prawdziwych drogowych bandytów policja i prokuratura są bezradne, wyrozumiałe i opieszale.

I co z tym Tuskiem

Czy premier Tusk może zostać szefem Rady Europejskiej? To pytanie zelektryzowało i oczywiście podzieliło naszych polityków. Pierwsza grupa to ci, którzy uznali całą rzecz za nieważną spekulację, bo przecież Tusk nigdy żadnych szans nie miał. Takie głosy najczęściej dochodzą z PiS, choć sam prezes Kaczyński jest nieco bardziej powściągliwy – myśli dopuszcza, ale uważa, że wybranie Tuska byłoby zarazem jego dezercją przed wymiarem sprawiedliwości, który na niego czeka po przegranych wyborach krajowych. W tej sprawie prezes porozumiał się nawet z Jarosławem Gowinem, bo choć programowo dzieli ich praktycznie wszystko, to łączy przekonanie, że nie ma dziś w Polsce polityka bardziej niż Tusk szkolnego. Jego odpowiedzialność za stan, do jakiego doprowadził kraj, jest nie tylko polityczna, lecz podlega już Kodeksowi karnemu. Sam prezes myśli tak od dawna. Gowin najwyraźniej dojrzał do tej myśli stopniowo, pukając do gabinetu prezesa z prośbą o miejsca na listach, a także po pieniądzu na kampanię. Tematu pieniędzy prezes Kaczyński nie podjął, ale jednoci tak. I ta jedność już się pojawiła, przysięgnięty został też Zbigniew Ziobro. Podstawą „porozumienia programowego” jest jednak nie tylko karna odpowiedzialność Tuska, ale tzw. afera taśmowa, co jako program zjednoczeniowy i wyborczy zarazem jest pomysłem dość oryginalnym. W każdym razie Kaczyński ma znów swoje stadko razem, wzbogacone o Gowina. I tak powoli każdy trafia tam, gdzie jego naturalne miejsce.

Druga grupa polityków to ci, którzy odetchnęliby wreszcie z ulgą, gdyby (w końcu sierpnia) jednak wybrano Tuska, bo wierzą, że wtedy nareszcie „odblokowałyby się” scena polityczna, wyrwana z uścisku PiS i PO. Platforma bez Tuska miałaby się natychmiast rozpaść i wreszcie pojawiłyby się nowe, tak wyczekiwane, podmioty, spełniające aspiracje Polaków. Jakże miałyby to być podmioty, nie precyzowano, bo gołym okiem widać (a niedawne wybory tego dowiodły), że nowe podmioty mają się wyjątkowo marnie i jakoś nie są przez wyborców z utęsknieniem wyczekiwane. Odblokowanie doprowadziłoby PiS do władzy bez większych kłopotów. Pomysł takiego burzenia sceny politycznej nie jest nowy, pojawia się sukcesywnie, zwłaszcza kiedy wydaje się, że PO jest na deskach. Ta jednak, choć z coraz większym trudem, wciąż się podnosi, zresztą głównie dzięki Tusкови, bo jakoś nie widać grona działaczy pracujących na rzecz partii. „Schetyna bierze wszystko – premiera i przewodniczącego partii” – zaszumiła w sejmowych kuluarach w dniu obrad Rady Europejskiej. Był w tym strach stronników Tuska (teraz nas wytnie) i nadzieja zwolenników Schetyny (wreszcie awansujemy). Nastroje zgasiła szybko rzeczniczka rządu, oznajmiając, że premier nigdzie na stałe się nie wybiera. Sam Schetyna głównie milczał, ale przecież wszyscy wiedzą, że czeka.

W sprawie Tuska są też zwolennicy argumentacji godnościowej. Tusk absolutnie powinien przyjąć propozycję, bo to wielki honor dla Polski i nie wiadomo, kiedy taka szansa znów się pojawi. Faktyczny prezydent Europy – to jednak jest zaszczyt i kto wie, może coś jeszcze dla Polski załatwi... Cóż, na ogół prezydenci załatwiają niewiele, zwłaszcza gdy władza wykonawcza jest gdzie indziej, co akurat ma miejsce w UE. Dobra komisja, np. rynku wewnętrznego, może więcej znaczyć niż unijna prezydentura. Argumentacja godnościowa trąci więc mocno prowincjonalizmem, ale też całkiem pominąć jej nie można. Jeśli stanowiska nie weźmie Tusk, to żadne przewodnictwo komisji nie będzie miało takiej propagandowej wymowy. Pojawia się więc oskarżenie, że premier nic nie może, czyli stara melodia PiS. Usłyszymy, że dzięki skuteczności tej partii najwyższe stanowisko w UE (czternastego wiceprzewodni-



czego parlamentu) przypadło Ryszardowi Czarneckiemu. Oto kto ma prawdziwe sukcesy.

Argumentacja tych, którzy uważają, że premier powinien zostać w kraju, jest prosta. Wprawdzie nie ma ponoć ludzi niezastąpionych, ale akurat Donald Tusk nie jest dziś do zastąpienia i jako premier, i jako szef partii rządzącej. Taki mamy czas, że największe partie są partiami dominujących liderów. Tusk ma wyraźnie nakreślony cel – wygrać po raz trzeci wybory parlamentarne, i musi spróbować to zrobić. Nie ma dziś żadnej innej siły politycznej zdolnej powstrzymać PiS, choćby Miller z Palikotem zawarli najbardziej ścisłe sojusze, a na razie są na etapie gier wstępnych.

W europejskiej grze jest jeszcze Radosław Sikorski jako potencjalny szef unijnej dyplomacji. Ale tu prezes Kaczyński, który generalnie popiera obejmowanie przez Polaków wszystkich ważnych funkcji, ma zdanie zdecydowanie negatywne. Na razie sugeruje jedynie, że Sikorski jest orędownikiem sprawy moskiewskiej, ale więcej szczegółów wyjawia, gdy już obejmie władzę. Wtedy odsłoni się cała prawda o Sikorskim. Czekamy na nią już tyle lat (pierwsze sugestie pochodziły wszak jeszcze od prezydenta Lecha Kaczyńskiego) i znów nic nie wiemy, choć moment jest krytyczny. Być może teraz trzeba tę prawdę wreszcie odsłonić, bo kto wie, czy po zestrzeleniu malezyjskiego samolotu przez promoskiewskich separatystów szanse Sikorskiego jednak nie wzrosną. „The Economist” już pyta „Gdzie jest Radek?” i przypomina, że to on pierwszy mówił Europie o wschodniej Ukrainie jako o terytorium, na którym toczy się prawdziwa wojna i gdzie latają rakiety, które mogą trafiać także w cywilne samoloty, i że to polska dyplomacja przywróciła Europie niewygodny temat wschodni. Skądinąd ciekawe, jak prezes Kaczyński wytłumaczy, że promoskiewski polityk ma w Europie wizerunek antyrosyjskiego jastrzębia? Taki zręczny kamuflaż?

Na froncie krajowym trzeba jeszcze zauważyć powrót kwestii naszej smoleńskiej katastrofy, która zdumiewająco przypomina – przynajmniej części radykalnej prawicy – zestrzelenie malezyjskiego boeinga. Zapewne w najbliższym czasie odbędzie się niejedno seminarium w sprawie uderzających podobieństw.

Jan Koza



© JAN KOZA

Umielibyście przeżyć miesiąc za 1436 zł? Przeszło połowa z 5 mln polskich emerytów żyje za tyle lub mniej. Lepiej zacznijcie ćwiczyć!

Pokolenie 1600

JACEK ŻAKOWSKI

Rafał Betlejewski już zaczął. Rocznik 1969. Artysta, performer, znany jako autor akcji „Tęsknię za tobą, Żydzie”. Ten od „kapliczki telewizyjnej” i od kampanii „Spal wstyda”, do której zachęcał słowami: „Wyruchała cię korporacja, przyjdź spalić wstyda”. Tak dekadę temu gromadził młodych ludzi do wspólnego palenia śladów pracy w korporacji: firmowych smyczy, długopisów, dyskietek, opinii pracowniczych. Starszych ludzi na ogół odpychał. Teraz ich odkrywa i zadziwia.

Pokolenie 1600 to faktycznie jest pokolenie 1436. Bo 1600 zł brutto oznacza 1436 zł netto, czyli na rękę. Trudno powiedzieć, czy to jest dużo czy mało. Jak ktoś mieszka z nieźle zarabiającymi dziećmi i emeryturę wydaje na siebie, to 1436 zł spokojnie starczy mu na lekarstwa, osobiste zakupy, drobne rozrywki i tanie wakacje. Jeśli emeryckie małżeństwo ma wspólnie prawie trzy tysiące, żyjąc w małym mieszkaniu i nie wydając za dużo na zdrowie, też da radę. Ale samemu starszemu człowiekowi przeżyć za 1436 zł jest ciężko. Betlejewski sprawdzi, jak ciężko.

Akcję Pokolenie 1600 wymyśliła Krystyna Lewenkfisz-Kulesza z utworzonej w 2011 r. Fundacji Senior Economicus. Przewodniczącą rady fundacji jest prof. Maria Szyszkowska. Przez pierwsze dwa lata FSE działała dość skromnie. Głównie udzielała indywidualnych porad, jak przetrwać na emeryturze, jak nie popaść w długi i jak o siebie dbać za takie pieniądze. Ale to się miało całkiem nijak do potrzeb. Parę osób dających dobre rady nie jest nawet kroplą w oceanie problemów emeryckiej nędzy. A nędza to nie tylko bieda, czyli brak pieniędzy, na który pewnie niewiele da się poradzić. To cała kondycja. Stąd pomysł, żeby się zwrócić do mediów. Padło na publiczne, ale niszowe, mazowieckie Radio Dla Ciebie i na prowadzącego tam program Betlejewskiego jako na człowieka, który ma pomysły. Razem wymyślili, że Betlejewski spróbuje przeżyć miesiąc jak emeryt.

Po dwóch tygodniach przekonał się, że nie daje rady. Z przeciętnej emerytury do końca miesiąca zostało mu 150 zł. Czyli 10 zł dziennie. Mimo że pomagała mu doświadczona emerytka Irena, która krążyła między Halą Mirowską, Halą Banacha i kilkoma mniejszymi bazarkami, za 50 zł umiała mu zrobić zakupy nie do udźwignięcia. Irena wie, gdzie w Warszawie najtańsze są jajka, pieczywo, mięso, owoce. I wie, na co nie wolno sobie pozwolić. Na truskawki z taniego stoiska – tak. Na czereśnie, nawet w szczycie sezonu – absolutnie nie.

Na początku – jak większość porządných emerytów – Betlejewski zapłacił za mieszkanie. 576 zł za 56 m kw. w starym budownictwie na warszawskiej Ochocie. Potem popełnił błąd, płacąc 136 zł za swój normalny abonament w sieci komórkowej. A trzeba było wybrać opcję emerycko-studencką za 19,90 plus 10 zł za internet. Bolesne frycowe płacone przez człowieka, który jako tako zarabia. Potem była wizyta u weterynarza z psem, który też jest seniorem. Ponura diagnoza. I ponury kosztorys. 350 zł za konieczne badania. Zrezygnował. Zrozumiał, że jako emeryt nie może sobie pozwolić na psa. Stać go najwyżej na dokarmianie gołębi albo podwórkowych kotów. Ich się nie leczy i nie ma się wobec nich stałych zobowiązań. W aptece miał szczęście. Emerytka, której leki postanowił w ramach swojego eksperymentu kupować, choruje na raka. Dzięki pełnej refundacji zapłacił tylko 8,20. Mało który emeryt leczy się tak tanio.





Emeryci współpracujący z akcją Pokolenie 1600. Od góry, od lewej: Irena z Władkiem, Alicja, Ewa oraz Marysia z artystą Rafałem Betlejewskim.

© RAFAŁ BETLEJEWSKI (4)

Zanim jeszcze skończyły mu się pieniądze, zdążył zrozumieć, że nie konieczność oszczędzania jest największym problemem, lecz wstyd, wykluczenie i dożywotnie uwięzienie 3 mln ludzi w czterech ścianach. Kiedy masz 1436 zł lub mniej, nie stać cię na nic poza walką o podtrzymanie swojej egzystencji. Boisz się nawet pójść do sklepu. Wkładasz rzeczy do koszyka, uważnie kontrolując ceny, pilnujesz, żeby brać tylko to, co najtańsze i najpotrzebniejsze, a i tak przy kasie kilka razy przeliczasz zawartość portmonetki i odkładasz to, na co ci nie starcza. Kasjerki na szczęście są zwykle wyrozumiałe, ale wstydu to nie niweluje. Starasz się wybierać takie pory, kiedy w sklepach jest pusto. Ale ktoś zawsze jest. Kolejka patrzy i się niecierpliwi albo – co gorsza – współczuje.

Jeżeli masz 80 albo 90 lat, doskonale wiesz, że to się nie zmienia. Nie liczysz na awans i podwyżkę, nie marzysz o zrobieniu kariery, o lepszej pracy ani o interesie życia. Nie liczysz miesięcy do końca studiów czy stażu, kiedy zaczniesz normalnie zarabiać. Liczysz tylko dni do pierwszego, do wizyty w przychodni, do czynszu. Niby w kieszeni masz z grubsza tyle, co stażysta, ale w głowie masz mniej. Nie możesz żyć mrzonkami, jak 20-, 30-, 40-latki. Nie przeżyjesz skoku adrenaliny na widok chłopaka, który patrzy na ciebie z pożądaniem, albo gdy umawiasz się z dziewczyną na wino. Nie liczysz nie tylko na seks, ale też na miłe muśnięcia, na pocałunki ani na obiecujące spojrzenie. To się już nie zdarzy. Nikt cię nie chce dotykać. Przez lata nikt nie popatrzy na ciebie z afirmującym zainteresowaniem. Sam tak na siebie nie patrzysz.

Także lustro, często jedyne miejsce intymnego kontaktu z człowiekiem, przypomina ci o twojej podłej kondycji. Omijasz je. Możesz się ucześć i umyć, oszczędzając wodę oraz mydło, ale makiżaż, perfumy, fryzjer, kosmetyczka, skuteczny dezodorant i ładne ubranie – to ekstrawagancje, których musisz się bezwzględnie wystrzegać. Lepiej o nich nie myśleć, żeby się nie dołować.

To wszystko do ciebie błyskawicznie dociera, kiedy dostajesz pierwszą emeryturę. Jesteś w piekle Dantego, gdzie nad wejściem wisi słynny napis „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić”. Tego nawet nie można sobie wyobrazić, póki się jest normalnie aktywnym i zarabiającym.

Jeśli masz sny o przyszłości, to zwykle śni ci się katastrofa. Jakiś nagły wydatek, który gwałtownie zrujnuje kruchą równowagę mikrooszczędności robionych z wciąż dodawanych i odejmowanych groszowych końcówek. Stuzłotowy mandat za przejście ulicy w miejscu, gdzie nie ma pasów, może ci zabić na miejscu. Przesunięcie lekarstwa z ryczału na częściową refundację może ci zabrać jedzenie na tydzień. Albo szansę zapłacenia czynszu. Budzi cię lęk, że zobaczysz swoje nazwisko na liście hańby, na której spółdzielnia umieszcza dłużników. Bardzo mocno czujesz, że jesteś na wiecznym zesłaniu do krainy nędzy, wyrzeczni i upokorzeń. Dla 99 proc. skazanych na takie życie 1600 to taka bezludna wyspa, na której jest absolutnie pewne, że żaden statek nigdy nie przypłyne.

Jesteś z tym całkiem sam. Jeśli żona czy mąż nie żyją (a zwykle nie żyją), to mając 80 lat przeważnie nie masz komu opowiedzieć o swoich lękach, złych snach i dylematach przy kasie. Nie dostaniesz pieniędzy od teściów ani od szwagra, bo poumierali. Na spadek nie liczysz – bo po kim? A brać od dzieci – wstyd. Wstyd przed sobą. Cała kultura ci mówi, że dzieciom i wnukom się daje. Jeśli ci pomagają, jesteś z nich dumny i mniej się wstydzisz przy kasie, ale nie czujesz się dobrze. Może nawet pochwalisz się kasjerce, sąsiadce, kuzynce, ale radość z dostawania nigdy ci nie wyrówna braku radości dawania. Ostatnią nadzieją jest Lotto. Co parę dni myślisz: jak wygram, kupię wnucze mieszkanie, a synowi samochód. Ale wygrywają głównie ci, co i tak mają.

Kulturowa norma dawania tylko z góry na dół drabiny pokoleń ma też polityczne skutki. Pokolenie 1600 nie walczy o swoje. Czuje, że żeby mieć więcej, musiałoby więcej zabrać dzieciom. A to wstyd. Dzieci zwykle umieją prosić rodziców. Rodzice zwy- ►